Ner 3. Kraków 15 stycznia 1870. Rok V.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa, w księgarni **J. Czecha** hotel drezdeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku. **Listy** należy adresować: do Administracyi „Kaliny“ — w Krakowie.

O WPŁYWIE LITERATURY
na rozwój życia społecznego w Europie w historycznym zarysie

skreślił
Lucyan Tomasz Rycharski.

Nietylko mylnem ale i zuchwałem nazwałbym twierdzenie tych, którzy utrzymują, iż ludzkość w swem wydoskonaleniu nie postępuje. Niespokojnie i niestale — mówią niektórzy myśliciele — krąży ona w wydrążonych kilkakrotnie kolejach prawdy i błędu, cnoty i występku. Ale, pytam się tych filozofów, czy było kiedykolwiek dozwolonem człowiekowi rozwiązać kwestję jego wiecznego losu? Obraz *doskonałéj* ludzkości tak ściśle połączony jest z pojęciem *najwyższéj doskonałości,* z Bogiem, iż człowiek tu na ziemi jak tamtego rozpoznać, tak tego objąć całkowicie nie potrafi. Jakżeby on tedy mógł ten stosunek między obydwoma w pewnym czasie ważyć i sądzić? Człowiekowi przystoi tylko kwestja, czy potęga ludzkości dążącéj do wydoskonalenia się, w tysiącach lat, jakie przeżyliśmy, wzrosła lub upadła? lecz i w takiéj formie pytanie to potrzebuje koniecznie bliższego określenia. Co nazywamy ludzkością? I na czem polega potęga jéj wydoskonalenia się? Obie te kwestje stoją z sobą w ścisłym związku.

Pojęcia *ludzkośćci* nie wyrażają pojedyncze wielkie natury, które dążąc siłą ducha do czegoś wyższego, uszlachetniają i podnoszą jéj ród do szczytu swéj godności i znaczenia nie oznacza tego pojęcia ani ilość ani wielkość pojedyńczych narodów, które duchem i czynem wystają i wznoszą się w tym napływie czasu, gdzie masy innych znikają; ani możemy społeczeństwu w ogóle, jako takiemu, nadawać wzniosłéj nazwy *ludzkości.* Czem ludzkość jest, zrozumiemy dopiero, jeśli oznaczymy wprzódy, na czem polega potęga jéj wydoskonalenia. Potęgą tą nie jest bynajmniéj owa naturalna siła ludzkiego rodu, wyłaniającego z siebie w każdem stuleciu, w każdym narodzie wielkich ludzi, którzy *dobro, prawdę* i *piękno* szczęśliwiéj osięgają niż współcześni; siła ta natury, jak słońce Homera, było, jest i będzie zawsze to samo. Nie starzeje się nigdy, gdyż zradza po wszystkie czasy wspaniałe postacie, jakie, choć je historja nie umie nazwać, stoją wyryte w księdze wieczności. Również mało możemy poznać ową potęgę w dziedzinie sztuki, będącéj dziełem człowieka. Cokolwiek geniusz i pilność, cokolwiek obie siły społeczeństwa nadały jakiemuś narodowi lub wiekowi, odkiedy wzajemna potrzeba złączyła ludzi, a udzielanie myśli stało się źrodłem mowy, nie może być uważanem za potęgę wydoskonalenia się ludzkości. Gdyż jak wielkie osłony w swym czasie bez śladu znikają, tak i dla wielu wieków i ludów zakres istniejących umiejętności, cała sztuka przedświata i współczesności, pozostaje tylko martwym i zasutym skarbem, którego odkopać ani podnieść nie potrafi duch żywy. Tam tylko, gdzie uczucie *dobra, prawdy* i *piękna* zarazem przenika społeczność, myśl ta może wielkie natury, których widokiem sama się wzmacnia i posila, wynieść na dobrodziejki ich czasu i potomności, tam może ona zapłodnić, użyznić i uporządkować skarb nauk i umiejętności, tam tylko może utrzymać i uszlachetnić dary sztuki. Myśl ta przysposabia palny materyał, w który wpada iskra genijuszu, aby wybuchnąć płomieniem i wszystkie części świata przez wieki oświecać. Myśl ta czyli raczéj zmysł, zamienia glinę w marmur, aby ją sztuka upostaciła, a jéj dzieło pozostało pomnikiem i pamiątką w społeczności na wsze czasy. Lecz zmysł ten człowieka dążący do najwyższego zenitu, potęga ta wydoskonalenia się nie istnieją tam, gdzie życie porusza się jeszcze w szrankach potrzeby i konieczności. Wprawdzie potrzeba téj konieczności mogłaby zrodzić społeczeństwo, wprawdzie pociąg do tego, co pożytek i korzyść przynosi, mógłby ją ściślej spoić i połączyć, ale ni jedno ani drugie nie mogłoby jéj poprawić ani uszlachetnić. — W odległéj starożytności wszelki udział w pożyciu stał pod prawem potrzeby lub pod regułą prywaty i egoizmu. Zdrętwiałe formy otaczały całość i części; wiedza, uznanie i przekonanie ukrywały się

w świątyniach i wyroczniacch, a sztuka wolna z urodzenia w niebie, na ziemi podlegała panującéj kaście. Cokolwiek wiedzieli kapłani z Memfis i Heliopolis, cokolwiek z duchowych skarbów zachowywały w sobie komnaty labiryntu, cokolwiek obeliski i piramidy ukrywały hieroglificznie, choćby było najpożyteczniejsze dla porządku społeczeństwa, lub najprawdziwsze i najlepsze dla poświęconych — dla ludzi, dla towarzystwa było stracone, a spełeczność była podobną do martwéj siły bez duszy, bez czucia. Lecz skoro dążność do rozkoszy zmiękczyła zdrętwiałą formę ścisłości i wytworzyła z niéj towarzyskość, skoro geniuszowi piękna nadała życie i przyjemność życia, natedy zbudził się ów wyższy zmysł. Jako owoc wolności *naturalnéj*, wychowany w wolności *społecznéj*, wzrósł on do geniuszu ludzkości w wolności *myśli*. Skoro zaś rozpętał związaną ludzkość, uwolniły się także przez *dobro*, *prawdę* i *piękno* nauka i sztuka. Z ich wystąpieniem obudzlło się wyższe życie społeczne, z którego począł się byt ludzkości.

Dla Europy zajaśniała jutrzenka takiego życia społecznego, uszlachetnionego ową trojaką wolnością, przed trzema tysiącami lat najpierw w Greyi. Czy zaś odtąd potęga wydoskonalenia się ludzkości w zakresach swych się rozszerzyła i w swéj sile wzmocniła, należy do historyi kwestję tę rozwiązać!

W Alpach.

Samotny — stoję w chmury odziany
Na szczycie gór! —
Orzeł nademną zawiesił szpony
I zdał się mówić: gościu szalony!
Tu się nie goją rozpaczy rany,
Tu orzeł królem, nie ... obłąkany!
Ja tutaj panem chmur!
Znam Cię, przed laty, w orłów krainie
Z namiś chciał żyć.
Lecz zapłątany w spojrzeniu gwiazdy,
Szydziłeś z orłów powietrznéj jazdy.
Młodość rzuciłeś u nóg dziewczynie
Więc póki życia czar nie przeminie,
Idź konać ... marzyć ... śnić!
Ten kto z orłami skrzydła rozwinie
Od bólu ran.
I tu przychodzi rozczarowany,
Trucizną życia goić te rany;
Ten choć myślami w błękitach zginie,
Lecz w chwale orłów — już nie zasłynie! —
Tu — tylko orzeł pan!
Więc smutny gościu — bywaj mi zdrowy!
Tęsknij do gniazd.
Z młodości kwiatów laurowe wianki,
Pleć na swe czoło u nóg kochanki.
Idź gdzie cię czeka czar romansowy,
Ale po wieniec chwały laurowéj —
Do orlich nie sięgaj gniazd!

Szwajcarja 1865.

Aleksander.

TYTUŁ I SZKATUŁA.

Obrazek współczesny

przez

WOŁODEGO SKIBĘ.

III.

Próba rozwiązalności arytmetycznego zagadnienia.

Im bardziéj Stefan zbliżał się do miasteczka, im daléj był od miejsca, w którem ustał paroksyzm arystokratyczny, jakiego nabawiony został widokiem ceduły pocztowéj, tym więcéj przyśpieszał kroku i tym pilniéj myślał czy z dodania jednostki do zera będzie mogło wypaść małżeństwo. Atrakcja gwiazdy miasteczka powiększała się, zgodnie z prawem Kepplera w stosunku odwrotnym do kwadratów zmniejszają się szybko odległości, jaką jeszcze miał do przebycia. Powracał w sfery, z których go chwilowo wyrwała siła przyciągająca tytułu, i było mu z tem bardzo dobrze i błogo.

Mimo największego pośpiechu opóźnił się jednak dosyć znacznie. On, co zazwyczaj najpierwszy; rzadko bardzo drugi przychodził, stanął dzisiaj w domu państwa Pieprzyskich w chwili kiedy nietylko wszyscy już byli zebrani, ale nawet większa część obecnych dokończała pierwszych szklanek chińskiego nektaru, stanowiącego fundament przyjęcia.

Doznał bardzo miłego i przykrego zarazem uczucia, gdy panna Helena zapytała go o powód tego spóźnienia. Pochlebiała mu ta wymówka będąca dowodem że ta, któréj całe miasteczko składało hołdy, zauważyła jego nieobecność, nie zdarzyło mu się bowiem słyszeć, żeby z kimkolwiek innym, co się kiedy z przyjściem na herbatę opóźnił, w ten sposób zawiązywała rozmowę. Czuł się opóźnionym w jéj myśli i to go czyniło dumnym. Ale z drugiej strony przykro mu było, że na tę wymówkę zasłużył, i że na wytłómaczenie swéj opieszałości podać nie mógł żadnego usprawiedliwiającego powodu. Przechadzka? — Któż się przechadzką tłómaczy z opóźnionego przybycia tam gdzie

mu serce śpieszyć każe? — Interesa? ... w małem miasteczku zabardzo dobrze wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi, żeby było podobna bez zdradzenia się z kłamstwem zmyślić jakikolwiek interes. Zmyślić więc nic nie było można, a przyznać się otwarcie do powodu, który wywołał spóźnienie, było także niepodobieństwem.

Więcéj otrzaskany ze światem byłby sobie zapewne z łatwością poradził, ale zestatecznialy w miasteczku Stefan nie potrafił tego zupełnie.

— To jest ... pani ... — wyjąkał, — spóźniłem się ... niechcący ...

Panna Szańska nie miała co odpowiedzieć na takie usprawiedliwienie, tymbardziéj że jéj przeszkodziła doktorowa podająca Stefanowi herbatę, rozmowa więc rozpoczęta w ten sposób, urwała się w pierwszym zawiązku.

Zacząwszy mięszać łyżeczką w szklance, żeby się cukier rozpuścił, Stefan rzucił okiem na towarzystwo, złożone z ludzi których widywał codziennie, na których twarzach zatem, najlżejszy niespodziewany odcień jakiego nowego wrażenia czy uczucia, mógł zauważyć z łatwością.

Nie mogło też ujść jego uwagi, że nad całem zgromadzeniem gości doktorstwa jakaś ołowiana chmura smutku ciążyła.

Wszyscy byli małomówni, milczący prawie. Józik Potucki, zazwyczaj najweselszy z towarzystwa, był kwaśny jak cytryna i siedział pochylony w kąciku patrząc w podłogę, jakby z niéj pragnął horoskop swojéj miłości wyczytać, — pan Piotr Palski z Zarębin wzdychał tak ciężko, jakby cały ciężar jego hypoteki cetnarową swą wagą przytłaczał mu barki. Michaś Szczepik szukał niby wąsów pod nosem, a właściwie ukradkiem, mały palec swéj ręki kierował do kącików ocznych, jakby chciał łzom drogę zagrodzić, pan Wawrzyniec wbrew swojemu zwyczajowi nie nagarniał włosów z tyłu głowy na świecącą niby słońce łysinę, a pan Roman skrzywiony, jakby w téj chwili właśnie uzupełnił tuzin koszyków, wyglądał tak jakby do doktora Pieprzyckiego przyszedł na konsultacją w jakiéj dolegliwości a nie na herbatę z arakiem. Panny nawet miały minki żałosne, chociaż po nich, przy niewielkiéj przenikliwości można było odgadnąć, że się smuciły tylko dla konwenansu, bo smucić się wypadało.

Stefan patrzył i nie rozumiał, i mięszał herbatę a mięszał, aż nareszcie pani Pieprzycka, która tę manipulacją brała za chęć wydobycia z cukru większéj słodyczy, podeszła doń z cukierniczką, mówiąc uprzejmie:

— Zapewne nie słodka, Panie Stefanie.

— O nie, pani Konsyliarzowo, — odrzekł Stefan, posiłkując się prowincjonalnym komplementem, — słodko mi w domu państwa ... ale ...

— Ale dzisiaj wszystkim żałosno, — jęknął z kąta Juzik Potucki.

Stefan w roztargnieniu znów zaczął mięszać i pytającém spojrzeniem wodzić do koła, żeby odgadnąć téj żałości przyczynę. Nikt mu jednak jéj nie tłómaczył, jakby się umówili, że to dla niego pozostanie zagadką, lub jakby przypuszczali że wié wszystko.

Z pomiędzy panien dwie najbaczniéj przypatrywały się Stefanowi, i czy najprzód odgadły że Stefan nie wié o niczém, czy były ciekawe jakie taka wiadomość sprawi wrażenie, odezwały się jednocześnie, a nietak znowu smutnie jakby ich minki rzewne przypuszczać kazały.

— Helcia, panie Stefanie ...

— Panie Stefanie, Helcia ...

Tu obydwie urwały. Każda przypuszczała zapewne, że druga dokończy.

Stefan spojrzał pytająco w ich oczy. Były to Marynia Lubska: Józia Papierkowska, znana nam już z napisanego a nie podanego listu. Przestał mięszać herbatę, i nie mogąc się doczekać odpowiedzi, zapytał:

— Cóż? ... pani ... panna Helena ...

Dwie odpowiedziały na wyścigi:

— Wyjeżdża jutro ...

— Jutro o świcie jedzie ...

Kilka przeciągłych westchnień wydarło się w téj chwili z piersi posępnych panów, ale wszystkie przygłuszył głośny brzęk tłukącego się szkła.

Biedna szklanka herbaty, z tak doskonale przez usilne mięszanie rozpuszczonym cukrem, wypadła z rąk Stefana i w setne cząstki rozbiła się na podłodze.

Panny ... panny te wieczne śmieszki, które w najuroczystszéj chwili smutku przy lada sposobności lubią ponure maski odrzucać z oblicza, głośnym wybuchnęły chichotem. Prawda, że śmiech niejednéj niewięcéj był wesołym, jak poprzedni smutek był smutnym, a zwłaszcza w śmiechu Mani Lubskiéj i w śmiechu Józi Papierkowskiéj, dźwięczało coś wyraźnie skargą i wyrzutem.

Z panów za to nikt się nie roześmiał, bo każdy był przekonanym, że gdyby téj smutnéj wieści nie powiedziano mu przed herbatą, mogłaby się i jemu podobna wydarzyć przygoda.

Stefan się zarumienił jak tylko na parafii młodzi ludzie rumienić się potrafią, i zmięszany przepraszał gospodynią, a w myśli coś mu powtarzało:

— Gdybym był hrabią ... zapewne ani Mania, ani Józia nie śmiałyby się z mojego wypadku .... teraz śmieją się wszyscy, raczéj wszystkie.

Jedno jeszcze spojrzenie przekonało go, że był wyjątek. Oko jego spotkało się w téj chwili z okiem panny Heleny i nie dostrzegło w niem uśmiechu, lecz wyraz życzliwego współczucia.

Obdarzony drugą szklanką herbaty Stefan zaczął rozmyślać, usunąwszy się na bok od towarzystwa.

— Wyjeżdża! — mówił do siebie, — wyjeżdża! ... otóż masz ... wszystkie moje plany runęły. — Jednost-

ka w świat podąży szukać innéj cyfry, a zero pozostanie zerem.

Stefan był zawsze w szkołach pierwszym uczniem z arytmetyki i algebry, ztąd lubił porównania arytmetyczne.

Po chwili iskierka nadziei ożywiła jego zbolałe serce.

— Wyjeżdża, — rzekł sobie w duchu, — lecz może nie wyjeżdża na zawsze ... przecież do nas kiedyś powróci ...

Smutna to była i nietrwała pociecha, bo z téj myśli natychmiast wypływała inna.

— Może powróci, może nie.

Bądź co bądź, przy światełku téj iskry nadziei, w duszy Stefana zrobiło się nieco widniéj, i w rozmyślaniach jego obok smutnych myśli zaczęły się pojawiać projekta i plany. Dumał czyby się nie udało jéj skłonić, żeby została dłużéj, i nie mógł znaleźć na to praktycznego środka.

Aż się nareszcie zdecydował na krok prawdziwie heroiczny.

— Powiem jéj ... że ... ją kocham ... może to ją wstrzyma, a jeżeli nie wstrzyma, to już lepiéj z nią razem pożegnam wszystkie nadzieje.

Wypił herbatę, która dawno wystygła, bo o niéj w rozmyślaniu zapomniał i zaczął polować na sposobność zbliżenia się do pięknéj Heli.

Nie tak łatwo było ją znaleźć, bo zachodzącą gwiazdę miasteczkową oblegali wszyscy mężczyźni, to po kilku, to po jednemu. Panny tylko dość chętnie trzymały się na uboczu, chociaż grzechem byłoby sądzić, że dla uniknienia porównań.

Wytrwałość i cierpliwość Stefana nie byłaby się na nic przydała, gdyby panna Helena nie znalazła sama pretekstu i nie wyszła do drugiego pokoju.

Po jéj wyjściu wszyscy tak byli swemi myślami zajęci, że oprócz Mani Lubskiéj: Józi Papierkowskiéj nikt nie dostrzegł, że Stefan, cichutko, na palcach prawie wyszedł z bawialni i znalazł się obok panny Szańskiéj, która usunąwszy się od towarzystwa, siedziała w drugim pokoju zadumana.

Przewidywała widać jego przyjście, bo skoro go tylko spostrzegła uśmiechnęła się do niego uprzejmie: wskazała mu miejsce obok siebie.

Przez cały ciąg rozmyślań swoich Stefan układał sobie jak z nią rozpocznie rozmowę, ażeby doprowadzić do tego co powiedzieć zamierzał, w téj chwili jednak wszystkie owe przygotowane początki nagle wywietrzały mu z głowy. Słynął z rozmówności w miasteczku, na najzłośliwsze docinki Mani lub Józi nigdy nie brakowało mu odpowiedzi, nawet panna Kunegunda Cudacka, która nie cierpiała milczków, nigdy się nie skarżyła na niego że małomówny, przy Helenie jednakże zapomniał języka.

Z pięknie ułożonego początku rozmowy tak ważnéj i uroczystéj, zrobiło się coś tak pospolitego, tak prozaicznego, tak niezgrabnego, że aż się rumienimy za naszego bohatera.

— Ah! ... panno Heleno ... pani wyjeżdża, — zaczął od westchnienia.

— Niestety, panie, wyjeżdżam, — westchnęła również panna Szańska.

— I pani nie zostanie? — zapytał po chwili nagle nieumiejętnością rozmawiania i znalezienia się urzeczony Stefan.

— Nie zostanę.

Czy z litości, czy z rozrzewnienia którem i ją może wyjazd przejmował, panna Szańska najnaiwniéj w świecie odpowiadała Stefanowi na te pytania o rzeczy wiadoméj. Była dlań tyle względną, że gdyby, nie zważając że już pytał o to dwa razy, zagadnął ją jeszcze:

— A zatem pani opuści nasze miasteczko?

Toby mu odpowiedziała bez niechęci:

— Tak, opuszczę.

Stefan jednak nie zadał takiego pytania. Milczał przez chwilę, dziwiąc się sam sobie, i robiąc sobie wyrzuty, że tak licho rozpoczyna rozmowę.

Po chwili zagadnął nieśmiało:

— Ale pani niedługo do naszego miasteczka powróci? ...

— O! nie panie, — smutnie odszepnęła Helena.

Dźwięki téj przeczącéj odpowiedzi bolesnem echem odbił się w sercu Stefana, a boleść ośmieliła go nagle i dała mu odzyskać część zwykłéj wymowy.

— Dlaczego pani? ... — rzekł już bez namysłu i potoczyściéj, — czyżbyś bez żalu opuszczała tu serca, które cię kochają? ... czy wątpiła pani, że są takie serca? ...

— O! nie wątpię o tem, panie Stefanie.

— A więc dlaczego takie serca zakrwawiać na zawsze? czemu im nie pozostawić chociaż wątłéj nadziei, z którą życie zdala od pani nie wydawałoby im się pustką i próżnią? ...

Panna Szańska milczała, nie tając jednak wzruszenia.

Stefan ośmielony coraz wymowniejszym się stawał

— O! nie, — zawołał, — pani powrócisz, pani wysłuchasz próśb naszych, mojéj prośby, panno Heleno ... lub przynajmniéj ... jeśli ci wrócić niepodobna, niezabronisz mi pani, udać się za tobą ... gdziekolwiek losy cię poniosą, nie zostawisz mnie tu z świętem uczuciem, którem od chwili poznania ciebie jedynie żyję!

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Lato. (Rysunek F. Kostrzewskiego).

ZOFIA KAPLIŃSKA.

(Dokończenie),

Z powodu śmierci ojca zmuszoną była, wraz z matką i rodzeństwem, przenieść się do Warszawy, gdzie przez kilka lat poświęciwszy się naukom, szczególniej historji i literaturze, zajęła się zaraz uczeniem drugich. Tu się roztworzyło pole do działalności jéj umysłu i serca. Nie była to istota bierna, poprzestająca na tem, co jest pod ręką, chociaż liche, byle nie wytężać sił swoich, wolejących gnuśnieć w bezczynności. S. p. Zofja, widząc brak, nie chciała łudzić innych i siebie pozorami; nie szczędziła pracy i usilności, ażeby ten brak zastąpić, przeszkody usunąć, przez które inni przeskakiwać wolą i tym sposobem utorować drogę, leżącą dotąd odłogiem. Wszystkie jéj prace tą jedynie natchnione były myślą; nie powodowały niemi zysk ani sława skromnych żądań, mogła poprzestać na dochodach mozolnemi lekcjami zbieranych, a których prace tak zwane literackie, to jest artykuły do pism perjodycznych i oddzielne książki, o wiele przysporzyć nie mogły. Nie szukała oklasków i sławy, bo o jéj utworach, chociaż dość licznych, ale pod któremi nie było podpisane nazwisko, świat się po większéj części dopiero po jéj zgonie dowiedział. O, bo niektórych ludzi ożywia tajemnicza siła, która ich stale prowadzi do jednego celu. Szczęśliwy, kto ten cel zawczasu przejrzy, kto się tym popędom nie oprze: odpowie on swemu *powołaniu:* a wielka to łaska nieba, skoro kogo do oddzielnych powołuje czynów, by się stał pociechą bliźnich i przyświecał im na drogach żywota. Nie można tego świętego głosu tłumić w sobie, bo z talentów naszych przyjdzie kiedyś zdać sprawę przed potomnością i Bogiem.

Odbiegliśmy nieco od naszego przedmiotu, szczęśliwi z kądinąd, że nam nasunął myśli, wychodzące poza obręb powszednich. Tak to, zajęcie wyższym przedmiotem przedniejsze też wydaje owoce. Nie wiele zresztą mamy dodać do naszego życiorysu. Powiemy chyba, że ś. p. Zofja Kaplińska napisała naprzód dwie książeczki, które wyszły w latach 1853 i 1859, pod napisem: „Książeczka dla dzieci chrześcijańskich“ i „Rozrywki w dni świąteczne.“ W parę lat później napisała „Pamiętniki młodéj ziemianki,“ na tle wiośnianych dziecinnych wspomnień osnute, które w wyjątkach drukowała „Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych“ w r. 1860. Kilka lat była stałą współpracowniczką „Czytelni Niedzielnéj,“ gdzie umieszczała prócz powiastek ludowyck, żywoty świętych i życiorysy sławnych ludzi. Kilka jéj utworów znakomitéj zawsze wartości rozrzuconych jest „Tygodniku Illustrowanym,“ w „Kolendzie dla dzieci polskich“ i w Gwiazdce z roku 1863. Niektóre już po śmierci w Tygodniku Illustrowanym i Kalendarzu ludowym wydane zostały. W tym ostatnim zamieszczona powiastka, z powszechnem współczuciem przyjętą została. Zresztą wiele jéj prac pozostało jeszcze w rękopismach, i wraz z innemi cieszymy się nadzieją, że rodzina zmarłéj poda je wkrótce do wiadomości powszechnéj, a przez to rozweseli zapewnie w niebiańskich sferach jéj ducha, który przez cały pobyt na ziemi, pragnął tylko być pożytecznym dla ogółu. A takie pisma, jak ś. p. Zofji, kogóż nauczyć nie mogą, skoro wszystkie nacechowane są nieprzesadzoną pobożnością, silnem poczuciem potrzeby kształcenia ludu, a nareszcie chwytającą za serce prostotą i serdeczną miłością ludzi. Kto pod takiem pracuje godłem, ten może być pewny, że przekona tłumy, pociągnie je sobą, i chociaż zdala wskaże wyraźny cel życia naszego, zdążenie do którego już od nas samych, jako wolną obdarzonych wolą, zależeć będzie.

Wytężona praca przy wątłem zdrowiu, po rocznej blizko słabości, położyła kres doczesnemu życiu ś. p. Zofji Kaplińskiéj, dnia 13 kwietnia 1864 roku; zwłoki jéj spoczęły na powązkowskim cmentarzu, ale wspomnienie o niéj długo nam przyświecać będzie.

TEATR.

(„Pojęcia pani Aubray“ Komedja p. *Dumasa* — „Mieszczanie i Kmiotki“. Komedya p. *B. Gwozdeckiego*).

Jesteśmy nieubłaganymi purystami, niewzruszoną warownią cnoty tak długo aż głoszone w tonie przekonywającym teorje i stosowana do drugich praktyka, zetknie się w osobistym naszym interesem lub miłością własną. Teraz dopiero przekonywamy się jak czczém było brawowanie z opinii publicznej, wyśmiewanie przesądów, jak nieumiarkowane były nasze żądania i jak powierzchowną li tylko na frazesach opartą była wiara w to właśnie cośmy za święte i niezłomne w wymarzonym kodexie moralności uważali.

Wierz w moje słowa ale nie pytaj o czyny — oto dewiza takich świętoszków — moralistów co żądają od drugich tego czego sami dokonać nie mają siły lub odwagi, oto sens moralny dobrze i głęboko pomyślanej komedyi Dumasa „Pojęcia pani Aubray“.

Kobieta ta praktykowała lat 20 idealne teorye moralności na drugich i stosowała je nawet konwencjonalnie do siebie, 20 lat łudziła się że potrafi wykonać to co mówi i czego od drugich wymaga, sumienie jej znajdowało się przez cały ten przeciąg czasu w stanie rzetelnego zadowolenia, mnóstwo upadłych dziewcząt skierowała na drogę cnoty i powydawała za mąż — przyszła jednak i na nią ciężka próba z której z wielką tylko trudnością wycofać się zdołała. Kłopotu tego narobiła jej Janina kobieta młoda i piękna, upadła niegdyś nie duszą lecz ciałem tylko, pod tłokiem nędzy i niemal bezwiednie. Kobietę tę przygarnęła do siebie z całą serdecznością, daje jej opiekę i postanawia wydać

za modnego wietrznika p. Valmoreau. Lecz syn jej własny Kamil Aubray wzorowo wychowany kochający i kochany przez Janinę chce ją poślubić. Tutaj przychodzi krytyczna chwila dla moralistki. Namawiała p. Valmoreau do ożenienia się z Janiną a niepozwala synowi, niepozwala stanowczo kompromitując tym sposobem własne zasady i głoszone pojęcia. Nadludzkie poświęcenie się Janiny oskarżającej się o brzydkie występki dla odstręczenia Kamila łamie opór p. Aubray, zezwala ona nakoniec, ale brak wiary we własne zasady został jaskrawo uwydatniony.

Szczegóły i całość tej komedji, znalazły w artystach naszych bardzo dobrych tłómaczy.

P. R a p a c k i (Barantin) w scenach przysługiwania się i niemych powątpiewaniach najwybredniejszego zadowolił krytyka.

P. B e n d a (Valmoreau) nieumiał dobrze roli, lecz wytrawna rutyna i świetna elegancja tym lepiej jeszcze się uwydatniły. Podnosiemy też przy tej sposobności ową grację i pewność siebie charakteryzujące każde wejście p. Bendy na scenę. Niemała to zaleta i nietylko nie wielu artystów na scenie, ale i elegantów w salonie mogą się nią pochlubić.

Obie ważne role kobiece Janiny (p. P a r ż n i c k a) i p. Aubray (p. H o f f m a n) jak również rola Kamila (p. Ł a d n o w s k i) oddane były wdzięcznie i umiejętnie. Godną szczególnego uznania jest sumienność z jaką p. P a r ż n i c k a powierzone sobie role traktuje, nie ubiega się ona za naśladownictwem lecz stara się tworzyć samoistnie według własnych pojęć i uznania, na czem żadna jej rola dotąd nie straciła a przynajmniej sfałszowaną nie została. Radzilibyśmy tylko pani P. więcej jędrności w scenach uczuciowych, energiczniejszego opunktowywania objawów namiętności i wszystkich przejść płynących z silniejszych poruszeń duszy lub z tajników kobiecych nerwów. Być może że krwista taka energija nie leży w naturze uzdolnionej artystki, lecz w tym razie pomoc zbyt łatwa — w sztuce.

Farsa Nestroya przerobiona dla polskiej publiczności w stylu niedzielnym przez B. Gwozdeckiego p. t. „Mieszczanie i kmiotki" nie byłaby godną wspomnienia gdyby nie wyborna gra artystów. P. R y c h t e r pozwolił nam podziwiać ogrom swego talentu z nowej strony. Jego Stanisław budził entuzjastyczne b r a v a po wszystkich piętrach audytorjum i rzeczywiście był on nadzwyczaj sympatyczny dla serca, dla sztuki zaś zostawił trochę do życzenia pod względem obficie jak na chłopka używanego palacu, i paru usterek niewłaściwej dla poczciwego handlarza bydłem sentymentalnej kacji.

P. E k e r (Drygalski) lżejszy od pióra niedotykał prawie ziemi i zmuszał do serdecznego śmiechu. Inni artyści zrobili swoją powinność zupełnie zadawalniająco.

W końcu notujemy że na korzyść dwojga weteranów sceny potrzebujących pomocy dała Dyrekcya osobny wieczór. Z udziałem p. Rychtera grano „Śluby panieńskie" hr. Fredry — t e a t r b y ł l i t e r a l n i e p u s t y!

Najserdeczniejsze dzięki należy się złożyć Dyrekcji za tak ludzkie uczucia — lecz cóż należy się publiczności za bezwzględną obojętność na smutną dolę dwojga artystów, którzy ją długie lata bawili?...

O...le.

PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

(„Polska w roku 1793" według podróży *Fryderyka Szulca* — Drezno nakl. J. J. Kraszewskiego 1870)

Wymienione powyżéj dzieło stanowi 17 tom „Biblijoteki pamiętników: podróży po dawnéj Polsce," któréj wydawnictwem zajmuje się niezmordowany J. J. Kraszewski. Następne tomy téj Biblijoteki zawierać będą: 1º Pamiętniki Stanisława Augusta, 2º F. H. Müntza, podróże po Polsce, 3º Jana von Schweinitzen, 4º Pamiętnik Lassoty ze Steblowa z XVII w. — Dalej pójdą pamiętniki i podróże wielu głośnych pisarzy ojczystych i cudzoziemskich, których większa część publiczności naszej znaną dotąd jeszcze nie była.

Co do dzieła *Szulca* publikowanego w 1795 w Berlinie p. t. „*Reise eines Liefländers von Riga nach Warschau*" a następnie tłomaczonego na język francuski to przedewszystkiem powiedzieć musimy że mimo całéj wartości, ukazuje się ono dopiero teraz po polsku i różni się bardzo jaskrawo od wszystkich innych dzieł cudzoziemskich autorów, opisujących nasze życie publiczne i towarzyskie.

Zapatrywania się cudzoziemców na kraj nasz odznaczało się przedewszystkiem wielkim nieumiarkowaniem i przesadą. Chwalono nas i wbijano w próżną pychę bez wiary, lub téż ganiono i wyśmiewano z tendencyjną namiętnością, stósownie do tego z jakiego źródła czerpał autor natchnienie a niekiedy i materjalną subwencją. Szulce był widocznie niezależny a więc bezstronny, czego mu zaprzeczyć niepodobna. Przeważnie większa część treści jego dzieła jest nam znaną z innych źródeł, znajdujemy tam jednak wiele szczegółów charakterystycznych na które nie zwracaliśmy uwagi, a które on dla tego właśnie że obcy, zręcznie bardzo pochwytał.

Opowiadanie Szulca toczy się interesująco, lekko i gładko, wspominając wprawdzie o Moskalach zwykł mówić: nasz rząd, nasze poselstwo, nasze wojsko i podaje się za dobrego patryotę rossyjskiego, jest to jednak tylko zwykła przechwałka Inflantczyków znajdujących pewien rodzaj chluby w zależności od knuta i w rezultacie źle nas przeciw Szulcowi uprzedzać nie powinna, nie zapatruje się on bowiem na nas przez rosyjski pryzmat, lecz stoi na niezależnym stanowisku kontemplującego Niemca. Opisując próżniacze i często rozwięzłe nasze życie codzienne, nieoględność, ambitne zatargi, przekupstwo nierząd polityczny i brak politycznego zmysłu — mówi on gorzkie prawdy — lecz przedewszystkiem prawdy których dotąd jeszcze uznać niemamy odwagi, a od poznania których polepszenie naszego bytu zależy. Wytykając nam je-

dnak wady nie unosi się Szulce nigdy i nie przesadza, ze słów jego bije w oczy spokój a nawet pewna życzliwość.

Żyjąc dłuższy czas w Warszawie bywał w wielu świetnych domach i znał wszystkie niemal ówczesne znakomitości stolicy, chwali więc serdecznie naszą uprzejmość, łatwość w pożyciu, rycerskość, wspomniałość, dobry smak, waleczność i ubolewa że rzadkie takie zalety idąc w porze z niekarnością i zbytnią lekkością, właściwych nie wydają rezultatów. W pochwałach tak samo jak przy wytykaniu błędów umiarkowanie i zimna krew, trzymają Szulca w granicach przedmiotowości z tąd więc dzieło jego nie zawiera ani galopujących tyrad, ani błękitnych planów, ani też niegodnych oszczerstw.

Charakterystyka osobistości jest najsłabszą nutą Szulcowéj powieści, najtrafniejsze są opisy życia domowego, ruchu na ulicy i w miejscach publicznych. Zapatrywania się zaś na stan polityczny Polski, godne są również do pewnego stopnia uwagi.

Pan Kraszewski przysłużył się bardzo literaturze naszéj spolszczeniem dzieła o którym mówiliśmy.

O...le.

Kronika. — *Rzecz o balach krakowskich. — Akademja w Pipidówce ma swoje odrębne pojęcia. — Co to jest Familja. — Chłopcy do lat piętnastu, a panienki do lat siedmiu, nie powinni chodzić na bale.*

Panowie! publiczność nieprzyzwoita. — Wybacz szanowny mój czytelniku, żem cię zainterpelował wierszem w którym znajdziesz dwa słowa ukradzione z Berwińskiego, ale gdybyś był na mojem miejscu, ręczę że odważyłbyś się na powtórzenie i trzeciego wyrazu, który tak znakomicie charakteryzuje niektóre warstwy naszego społeczeństwa. Nie miej mi więc za złe jeżeli jestem skromniejszy od ciebie i niechcąc naszego narodowego rozumu na szwank wystawiać, modyfikuje nieśmiertelnego wieszcza poznańskiego.

Albowiem... jeżeli tak daléj potrwa jak się zaczęło, to cały świat balujący niedługo znajdzie się w kozie, gdzie zamiast wybornych pączków Majerowskich, amatorowie publicznych skandalików skazani zostaną na skromny post i pokutę.

Muszę się wam przyznać, że cały wątek do tak smutnych uwag nad upadkiem moralności, czerpałem robiąc studja nad młodzieżą naszą, która w 15tem roku swego życia doszedszy do szczytu doskonałości gry w *bezika* i *werbla* w 20tem chodzi na maskarady... pijana. Jeżeli wyraz ostatni wydaje się wam szanowni czytelnicy cokolwiek za dobitnie rzecz malujący... darujcie mi przez wzgląd że pracuję nad poprawą obyczajów, i że, jak dobrze o mnie ktoś powiedział, jestem *żabologiem.*

W słowie tem bezwątpienia znajdziecie coś greckiego, ale naprożno byście szukali w Krąkowie tego wszystkiego co w Wenecji albo na rzymskiem Corso spotkać można podczas karnawału! Nawet do paryskiego *boef gras* wiele jeszcze brakuje krakowskim zapustom — a redutom tutejszym jakkolwiek nie pod względem *elegancji* zarzucić nie można — zawsze to jednak nie to co bal *wielkiej opery!*

Wyjątek tutaj stanowi pierwszy wieczorek po resursie mieszczańskiej, na którym świetnie zebrana publiczność, do upadłego... grała w preferansa! — Albowiem płeć piękna była tak słabo reprezentowaną, że nawet kontredansa w dwie pary złożyć było niepodobna.

Za to bal akademików! — miał przeszło dwadzieścia par polkujących po obszernej sali saskiego hotelu, a młodzież demokratyczno-przyzwoitych zasad, aż do upojenia była dumną iż same tylko panie hrabinie deptała po pawłóczystych sukniach! — Niech żyje cywilizacja i konsekwencja komitetu balowego!

Jako dodatkowy bowiem paragraf, młodego rozumu stanu i kiełkującej na ławach uniwersyteckich dyplomacji — istnieje podobno wyraźnie czarno na białem, iż żona i dzieci nie uważają się za familją — jeżeli żona nie jest hrabinią albo bankierową a córka hrabianką albo bankierówną. Zasłużony na scenie narodowej artysta według pojęć młodzieży dzisiejszej resp. komitetu balowego, dostępuje wielkiego zaszczytu jeżeli mu wolno złożyć na rzecz ubogiej młodzi akademickiej swoje trzy grosze — familja jego pod tym względem równe posiada prawa — ale po za tem.... artysta uważa się bez familji — choćby na zaproszeniu wyraźnie stało „komitet itd. ma zaszczyt niniejszem zaprosić p. NN. z familją!

To cośmy wyżej powiedzieli nie stosuje się podobno do uniwersytetu krakowskiego, gdyż młodzież tutejsza aż nadto jest znaną publiczności z konsekwentnego zachowania się i z postępowych zasad... Skandalik ten jak wiemy na pewno, miał miejsce w Pipidówce owej błogosławionej krainie dla dowcipu, którą autor „Karykatur“ unieśmiertelnił tak charakterystycznemi szkicami — zapomniawszy zupełnie o komitecie balowym.

Rozpisawszy się tak szeroko i długo o redutach, balach i herbatach tańcujących — a chcąc uzupełnić wszystko co tylko da się o nich powiedzieć muszę jeszcze odezwać się do szanownych Pap i Mameczek prosząc ich aby na bale nie prowadzili niedoroslych dzieci — jeżeli chcą ich wychować na pociechę sobie — a narodowi na chwałę.

Korespondencje „Kaliny.“

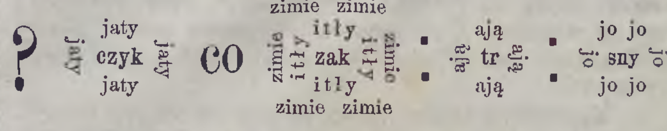
P. **K.** w Poznaniu. — Prosimy o odpowiedź na list nasz z 12 Stycznia r. b.

Sz. „**Red. Mrówki.**“ Żądany drzeworyt posłaliśmy. — Gdyby we Lwowie nie znalazł się drzeworytnik któryby się podjął naprawy drzeworytów uszkodzonych — prosimy przysłać takowe do Krakowa — a odeszlemy w dobrem stanie.

Szanownych prenumeratorów, którzy jeszcze przedpłaty na rok 1870 nie odnowili, prosimy o nadesłanie takowéj.

REBUS
do nagrody.

Pierwszy kto nadeszle trafne rozwiązanie z Prowincji lub z Krakowa otrzyma pięknie oprawny „Przedświt“ Z Krasińskiego.



Znaczenie rebusa w Nr. 2.: **Nieszczęśliwemu zawsze wiatr w oczy.**

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca ***St. Gralichowski.***

Kraków. — W Drukarni Władysława Jaworskiego, 1870.